

# Rycerze Ojczyzny i Maryi

Arkady Saulski

**W**idziałem Twoją szablę, Krzysztofie. Widziałem Twoją szablę. Nie miałeś szabli. Kiedy Cię znałem, wprawiałeś się dopiero we władaniu nią, usiłowałeś opanować te sztuki, te cięcia – płasko, w pierś kładłeś, ciąłeś, opierając z ramienia, z nadgarstka, jakbyś na karwaszu opierał zakrzywiony brzeszczot. Szło takie cięcie płasko, w pierś, z karwasza.

Potem jakieś się nauczył, to otrzymałeś, Krzysztofie, szablę od ojca swego, on Ci ją dał i ćwiczyłeś się dalej, tłukłeś po gospodarach i majątkach i jeździłeś z tą szablą, biodro oklepane, sine od pochwy, ale ta szabla była w takim stopniu Tobą, jak Ty byłeś nią.

Ale ta Twoja szabla to nie ta od ojca ani ta kozacka szablica, bez obłędu, jeno obłęd mająca z łańcuszka zrobiony. To szabla ni husarska, ni karabela, lecz po prostu taka, jaką żeś zamówił, wykuta, piękna, z głownią tak mocną, jak patrzyłeś – niezniszczalną. Jak ją widziałem, Krzysztofie, jak widziałem Twoją szablę, to leżała w błocie – leżała już nie piękna, nie zdobna, nie mocna, nie ostra, lecz ciemna, złamana, zlana rdzą i krwią człeka, i kawałkami mięsa, ludzkiego. A nad tą szablą stał, dygocąc kundel wychudzony, na jego bokach żebra jak harmonia i zlizywał łapczywie tę krew, i zjadał to mięso z Twojej szabli.

Jechali jarem w dziesięciu. Dziesięciu, to znaczy – wóz, a na nim dwóch. Za wozem kolejnych dwóch, konnych. Ci w wysokich butach, wysokich skórzanym, ponad kolana. Przy bokach mocne pałasze. Pas związuje szustokor, niebieski szustokor, bo Moskale nosili niebieskie, a ich przodkowie, sto lat wcześniej pod władzą *Gospodna Piotra*, nosili ciemnozielone. Na głowach filcowe trikorny, pod trikornami tłuste włosy związane w kok.

Przed wozem szło czterech piechurów. Ci z wysokimi czapkami grenadierów, ale to nie byli grenadierzy, bo uzbrojeni raczej jak liniowa piechota – w długi karabin, na lufie bagnet tulejowy, przy pasie prochownica i woreczek

z kulami. Buty wysokie, pas, jakiś kordzik jeden czy drugi ma przy tym pasie, obciąża ten pas, a przed nimi na przedzie – dwaj ostatni konni, tak samo uzbrojeni jak ich towarzysze w ariergardzie. Jeden tylko to był chyba dowódca, albo najwyższy stopniem, albo zwykły idiota, bo śpiewał głośno jakąś pieśń chłopską, po rosyjsku, na cały las.

Niosła się ta pieśń pomiędzy pniami drzew, między kamieniami w lesie, między gruntem i podszytem. Dochodziła do uszu Krzysztofa Kazimierza Tęczyńskiego, a Krzysztof Kazimierz Tęczyński miał naprawdę dobre uszy.

Jechali jarem, a wóz terkotał. Wóz pusty – musieli wieźć nim jedzenie, mąkę, paszę albo diabeł wie, co – wieźli na Żytomierz, a teraz wracali z Żytomierza, na południe. Tą drogą, przez ten las, tym jarem, pomiędzy tymi drzewami – na południe.

Więc Krzysztof Kazimierz Tęczyński miał ukryte cztery karabiny – wszystkie nabite i oparte o drzewa, dyskretnie tak, że nie widać ich od strony drogi. Rozstawione karabiny, tak by biegnąc, z tåtwością można było uchwycić nowy

## *Partyzant, czyli sztuka prowadzenia pomyślnie wojny podjazdowej*

karabin, porzucając wypalony i w pędzie oddać strzał. A do tego dwaj towarzysze Tarczyńskiego, ukryci w krzakach po przeciwnej stronie drogi, uzbrojeni w kolejne trzy muszkiety i pistolety, sztuk cztery. Ci towarzysze ukryci i strzelający z zarośli, gdy Tęczyński wypalał i biegł po kolejny karabin, wszystko przygotowane tak, by szedł do Moskali ogień nieustanny. A wszystko do wykonania i tak jak opisane w podręczniku *De Jeney: Partyzant, czyli sztuka prowadzenia pomyślnie wojny podjazdowej, według zwyczaju wieku terażniejszego. Z przydatkiem ułożonych plant, ułatwiających pojęcie, dyspozycye, y wszystkie potrzebne obroty woysk lekkih w odprawianiu marszów, czynieniu zasadzek, ataków, y reyterady, jako y z sposobami łatwemi leczenia zdarzających się przypadków y chorób pod czas Kampanii tak ludziom iako y koniom, przez sławnego Indzeniera y Kapitana Woysk Francuzkich wydany, a teraz na polski ięzyk przetłumaczony.*

Amen.

A było to wydanie z roku 1770, przez ojców bazylianów. Tęczyński miał to wydanie, czytał je, przyswoił bardzo uważnie, na tyle uważnie, że był rok 1776 – już po Konfederacji i po oblężeniu Częstochowy, gdzie nasza Matka Boska stała w obronie wiary i Ojczyzny, a w obronie naszej Matki Boskiej Maryi Królowej Polski stał właśnie pomiędzy innymi Tęczyński i jego dwaj towarzysze. I nawet było to po zajęciu Wawelu, gdzie Tęczyński leżał krzyżem i modlił się o pomyślności, a te pomyślności przyniosły tyle, że jak w miesiąc później kapitulowali, to po spotkaniu Moskali nie zdjęto mu z szyi ryngrafu.

Miał Tęczyński podręcznik wojsk partyzanckich do walki i do rejterady, był sposobny, ale teraz, przed tym marnym, śmiesznym moskwicińskim oddziałem, raczej do walki szedł, bo to ani Konfederacja już nie była, ani nawet wojna, a to pod nimi, to nawet nie był oddział.

Poprawia topór za pasem, zdjął rogatywkę, odłożył. Sięgnął po ryngraf na niegdyś białym i czystym kaftanie i ucałował Matkę Boską w jej święte usta i przeżegnał się nasz Krzysztof Kazimierz Tęczyński, wielki Konfederata w roku 1776 i uniósł karabin, długi, brązowy, odciągnął kurek, wziął cel i wypalił.

Poszedł siwy, gęsty dym z lufy i od zamka. Szarpnęło za ramię, ale nie mocno, bo Tęczyński oparł się o drzewo, zza którego wypalał. Kula ze świstem pomknęła do celu, huk się rozszedł po lesie. Trafiono w tego głośnego Moskala – ciężka ołowiana kula wbiła się w czaszkę, rozbiła ją jak arbuz. Zawartość czaszki poszła czerwoną fontanną w bok, na łeb i grzywę konia drugiego konnego, na lejce, przedni łęk siodła i kaftan niebieski.

## *Błoto wyslizgane, zmieszane z liśćmi i w tym błocie krwi obfitość*

Panika, panika i krzyk.

Konni zasięgnęli do pałaszy, gdy ciało ich umarłego towarzysza zsuwało się w błoto, piechurzy przykłękli i wodzili lufami karabinów po lesie, lecz nie oddawali strzału, nie marnowali kul, a ładowanie takiego karabinu – to wieczność.

Tęczyński zaś już przebiegał do drugiego drzewa, dopadł był karabinu, odciągnął kurek. Dojrzeli go Moskale. Poszedł ogień od jednego z piechurów, nawet celny, bo odłupał korę od drzewa, niemal przy głowie naszego rycerza Krzysztofa Kazimierza. Lecz nasz rycerz także mierzył, a towarzysze jego czekali, aż odda strzał. Teraz Tęczyński nie mierzył aż tak uważnie – ot, oddał salwę, dając czas swoim na obranie celów. Poszła kolejna kula, padł Moskał, zaskoczony, że ołów akurat jemu przebił krtań.

Konie zakwiczęły, a po chwili kwik zwierząt zagłuszyły kolejne strzały – teraz od strony zarośli, od towarzyszy Krzysztofa Kazimierza. Huk, huk, jeden po drugim, wrzaski – te strzały nie tak celne, ale śmiertelne. Koń padł, przyniatając nogę jeźdźca. Krzysztof Kazimierz już dopada trzeci karabin, gdy słyszy kolejne strzały – albo od Moskali, albo tak szybko zmieniają broń jego synkowie.

Tarczyński namierza, strzela. Siwy, gęsty dym od prochu zastania widok, ale wie, że trafili, słyszy to w dzikim, ludzkim wrzasku. Szarpie za topór przy pasie, zbiega stromą ścianą jaru na sam dół. Wysokie buty w końcu ślizgają o błoto. Patrzy, a widok znajomy. Błoto wyslizgane, zmieszane z liśćmi i w tym błocie krwi obfitość. Trupy już nieruchome, albo konający jeszcze, żywi, zwinęci boleśnie, niespokojnie, krzyczący, wzywający swoich matek, albo *Boga Gospodna*, albo Jezukrysta, albo nikogo niewzywający, tylko tkający boleśnie i bezsensownie.

Tęczyński jak patrzy na te kilka trupów, to mu się przypomina widok spod Lanckorony, jak widział w tym błocie gnilnym swoich towarzyszy i przyjaciół. Jak po szarzy pod Częstochową wśród koni tratował i siekał z siodła po trikornach i wysokich czepcach grenadierów, i jak tą krwią się

upijał, tak jak wcześniej winem mszalnym, co miało być na *Deo Gratias* przed Królową Polski.

Teraz stat i widział jeszcze – czterech żywych. Czterech? To aż tyle już ognia poszło? Dobrze się mają moi synkowie. Jeden konny – trzech piechurów.

Dopada więc z toporem, siecze między pieszymi. Im trudniej – długie karabiny z bagnetami, jak skrócić odległość – samą zawadą. Pchają na oślep, ale nic to nie da. Sieczce Tęczyński, tnie po gardle jednego, a gdy krew chlusta i oblewa twarz, on już dopada następnego i wraża ostrze od dołu, pod pachę. Trzaska kość i chlusta z tętnicy. Trzeci pragnie rzucić broń i uciec, ale Tarczyński dopada go. W prawej dłoni topór, w lewej wyszarpnął zza pasa nóż. Uderza obuchem w plecy, a gdy Moskal na kolanach – chlasta przez gardło i obala głę w błoto.

Reszta martwa, dwaj Moskale na wozie też – pochyleni, oparci o siebie – jakby spali, lecz nie śpią przecież – z kulami w piersiach, w czaszkach.

Ostatni Moskal obraca konia, chce popędzić na Żytomierz, uciec, donieść, że bandyci grasują. Już świst, już mknie coś, tnąc powietrze.

Ostrze toporka wchodzi pomiędzy łopatkami, uderza. Trzask okrutny, a Moskal jak rażony piorunem – zlatuje z siodła.

Koniec.

– Wyjdźcie! – krzyczy Tęczyński i jego towarzysze wychodzą. Nie tak brudni jak on, lecz także – obdrapani i zakurzeni. W kaftanach, z konfederatkami na głowach. Niosą wypalone karabiny, jakby nieśli drewno na opał, dwóch – młodzi chłopcy, młodszy od Tarczyńskiego, a przecież jak brat ich na wojnę, jak brat ich na Konfederację bronić Maryi i Ojczyzny, to niemal dziećmi byli. Tęczyński patrzy na nich i dumny jak ojciec, bo i dobrze w tym dniu się sprawili. Jego chłopcy – Seweryn Mniszech i August Siemaszewski. Niemal jak dwaj synowie. Jednak żaden z nich nie jest synem Tęczyńskiego, żaden z jego lędźwi.

Zebrać amunicję i racje. Wodę, jeśli mają i paszę, jak coś zostało. Nakazuje Tęczyński i chłopcy się uwijają bez słowa, bo widzieli wojnę i wiedzą, co robić, gdy wróg martwy, a co, gdy w agonii.

Widziałem te ciężkie chmury nad stepem, tak jak Ty je w tej chwili widzisz Krzysztofie Kazimierzu. Widzisz je, bo konno jedziesz do Tarnawów, do dworu Macieja Augusta Siemaszewskiego, Twojego wielkiego przyjaciela, któremuś syna zabrał, na wojnę, na bunt, na reję, na Konfederację – zabrateś, by podniósł dłoń i szablę na prawowitego Króla Polski, namaszczonego przez biskupa i szlachtę, i Jezusa Chrystusa, i Matkę Jego Maryję Królową Polski. A gdy wiele, wiele lat wcześniej pierzchał z kraju król Walezy, to ścigający go ani chybi winni zgładzić tego tchórza, zdrajcę, niegodnego synów Bolesławowych, ale nie zabili, bo gdy dopadli uciekającego króla Walezego, mogli zabić jego siedmiu dworzan, a króla uwięzić i przemocą dowieźć do Krakowa. Mogli króla zabić, splamić się królobójstwem, ale mogli go zgładzić, zastrzelić, na kolana obalić i ciąć, albo sztychem przekuć mu gardło, w każdym razie – zabić, pod

byłe pozorem, bo wszak sam zdradził artykuły, które ogłosił i sam zdradził kraj, którym miał władać.

Ale nie zabili go pod ów czas, a król Walezy popatrzył na biednych, naiwnych, zakurzonych obdartusów znad rzeki Vistula, z grodu Kraka, z lędźwi Bolesławowych, Piastowskich, popatrzył na ich dowódcę – Tęczyńskiego i na jego jeźdźców z Tartaru także, i oddaje pierścień z dłoni Tęczyńskiemu król, bo tego królestwa że nie miał opuścić wolej, dał mu znak, pierścień z palca zdjawszy. A Tęczyński swą dłoń przecina, cieknie krew, a on moczy w niej palce i na tę krew przysięga wierność wieczną królowi, i wypuścił króla ze swych rąk, wpatrując się w ten pierścień od *Rexa*. Bo Ty tego już nie zrozumiesz Krzysztofie Kazimierzu, ale dla tamtego Tęczyńskiego król, władca, *Rex*, to była świętość i lęk był dotknąć tej świętości, a cóż dopiero zgładzić go, zastrzelić lub strzałą tatarską przekłuć mu gardło.

Ale choć tamten Tęczyński był Twoim praprzodkiem Krzysztofie, choć jego żyły to Twoje żyły, jego herb Lew, to Twój herb Lew, to Ty już nie jesteś tym samym Tęczyńskim. Tym samym, co to drży przed świętością *Rexa*, co pokrywa się potem na myśl o służbie u tegoż, co klęczy, gdy *Rex* nakazuje, i opuszcza głowę pod Jego spojrzeniem. Tyś już z innych Piastów, Tyś z przeklętego rodu, przeklętej gałęzi, dla której król, *Rex*, to oprawca, to ciemiężyciel, to zdrajca, to gnój.

I gdybyś Ty był wtedy w tamtym lesie, przed, albo za Pszczyną, w tamtym pościgu, i gdybyś Ty był tamtym Tęczyńskim, a on nie byłby Tobą, byłby nie-sobą, bo nie byłby wcale, to Ty byś zabił Henryka, zabił i jego i dworzana, osobiście byś swoją szablą, a może rapierem wykonał *coup de grace* i zabiłbyś tego oprawcę, tego ciemiężyciela, tego zdrajcę, tego gnoja. Byś nie ciął swej dłoni jak tamten Tęczyński, który był, ale którego by wtedy nie było, nie przysięgałbyś na swoją krew, wierności królowi, nawet temu, co pierzcha, lecz zabiłbyś, po prostu. I kto wie, czy nie byłoby wtedy to lepsze. Gdybyś Ty był tym Tęczyńskim-nie-Tęczyńskim, gdybyś zamiast na krew swą wieczną przysięgał, byś uczynił szkatłatne *miser cordia* na gardle Henryka... A tak tamten Tęczyński, Twój ojciec, Twój dziad, ten Tęczyński przed Tobą poprzysięgał na swą krew wierność wieczną. A teraz Ty kalasz, wszyscy kalacie tę krew z dłoni przodka Waszego, bo ta święta krew, na którą składał przysięgę, dla Was jest niczym, tako i dla Ciebie Krzysztofie jest niczym, bo Ty plwasz na tę krew, a dla Ciebie król-*Rex* zdrajca i gnój jest wart tyle martwy, co te trupy Moskali, co żeś je zostawił brudne w błocie, w szosie, w jarze, w grobie, na drodze do Żytomierza, na Żytomierz. Wszyscyście przekłęci przez to krwi kalanie, przez łamanie swej przysięgi, którą składaliście i składacie, i składać będziecie Waszym *Rexom*, jakbyście ich w latach przyszłych i dawnych nie nazywali. I nawet jak klękacie i przysięgacie na miecz, na krzyż święty, jak wznosicie okrzyki uznania i radości dla *Rexów* Waszych, jak idziecie za nimi na wojnę, albo wchodzicie do jamy i tam składacie hołd inny, już nie na miecz, nie z szablą nad głowami Waszemi, ale milczący hołd tak jak wielu z Was innych hołd tego dnia złoży... Wszyscy kalacie tę przysięgę, bo nic ona dla Was nie jest warta, bo Wy sami

dla siebie nic nie jesteście w swych oczach warci. Bo widzicie to kalanie, którego dokonał przed Wami ktoś, kogo nazwiska i imienia już nie ma w annatach, ale wstydzicie się tego kalania, tej krwi świętej oplutej z dłoni Tęczyńskiego na polanie przed albo i za Pszczyną. I już nie umiecie nikomu służyć, nawet sobie sami nie umiecie służyć, bo jak już rodzicie się, to kto by nie był Waszym *Rex*, kto by nie władał, nie rządził, nie administrował, to dla Was zawsze jest on tylko ciemną i tylko plwać na ciemną umiecie i plwać na ciemną należy.

I Ty czułeś to samo, Krzysztofie Kazimierzu, gdyście Waszego *Rexa*, a jego imię było wtedy Stanisław August Poniatowski, *Stanislaus Augustus*, gdyście go porywali, wywlekając nocą z dylizansu, z karocy. Ty siedziałeś na dachu tej karocy, Ty ogłuszałeś stangreta, choć daj Boże czułeś w ustach smak żelaza

### *I potraficie rękę jedynie podnosić do ciosu, lecz ona tylko tak unosi się jakby groźnie*

i gotoweś był go zamordować, miał ogłuszać. Więc gdy wywlekali Twoi bracia Konfederacji *Stanslausa Augustusa* z karocy, w noc ciemną, w czarnych, mokrych płaszczach, z kotnierzami, ze stójką postawioną wysoko, tak że zasłaniającą twarz, z równie czarnymi trikornami – gdy wywlekali króla z karocy, to żeś gotów był zakończyć całą Konfederację tutaj i zaraz, tutaj i teraz, tutaj i w tym miejscu, w tym momencie. Jak dłoń położyłeś na rękojeści pistoletu, gotów wyciągnąć jego zza pasa, wycelować, wypalić w twarz *Rexa Stanislausa Augustusa*. Bo czułeś wszak tylko pogardę dla niego. Bo widząc go nie widziałeś majestatu króla Waszego, lecz widziałeś tylko jego spocone rżapie oklapłe, którym zaspokajał był wcześniej chucie Carycy *Jekateriny*. I tylko to widziałeś – jego nagość i jego pot i byłeś gotów wypalić, zakończyć to wszystko.

Lecz tak jak ten Tęczyński przed Tobą, tak i Ty nie wyciągnąłeś broni, nie wycelowąłeś, nie wypaliłeś. Bo potraficie i potraficie rękę jedynie podnosić do ciosu, lecz ona tylko tak unosi się jakby groźnie, lecz sam cios nastąpić bez pomocy nie może. Taka natura Waszej odwagi-tchórzostwa, że nic do końca nie może być przeprowadzone, że szarża musi być, ale załamana, walka musi być, ale przegrana, miłość musi być, ale porzucona, dziatwy muszą być, ale bez ojców, bo ojcowie w tej szarży, na tej wojnie, w tej walce polegali byli, gardząc swą dziatwą tako, jako gardzą swemi *Rexami*.

A skorośmy o dziatwie – tak Ty Krzysztofie Kazimierzu, Ty jechałeś tym wilgotnym stepem ukraińskim, co Twoi przodkowie zwali *Locca Deserta*, albo *Dzike Polie* na mapie *Carte d'ukranie*, jechałeś wraz z wozem dwukotowym, we cztery konie, bo trzy do jazdy, a jeden juczny do tego wozu. Jechałeś ze swemi młodemi towarzyszami niedoli wojennej. Na niebie ciężkie chmury, szare, grom się niesie gdzieś daleko, wóz nurza się w zieloność, tak jak i Wasze konie brodzą w tej wysokiej zieloności. Tutaj, tylko tutaj jak pamiętasz taka przyroda, taka natura – prawdziwa. I nie wiesz, nie możesz wiedzieć ile krwi, ile szkieletów skrywa ta trawa i skrywać będzie. I ile wsiąknie cierpień jeszcze, wiele lat po tym jak Ty ze swemi towarzyszami przejeżdżał byłeś i będziesz.

Tak jak pancerni towarzysze hetmanów, tak jak skrzydlata husaria, tak jak wojowie Bolestawowi, tak potem potężne *panzer* maszyny ryć będą tę trawę, tę zieloność piękną, a to piękno takie złudne, skrywać będzie tylko cierpienie.

Udajesz się ze swymi synami, ze swą dziatwą, bo masz syna oddać ojcu. A jest rok 1776, już dawnoś winien syna oddać ojcu, tako jak on powierzył Ci syna swego, byś go do wojny, do męskości sposobił. Do służby Ojczyźnie i Maryi Pannie. Jednak spędziłeś swą dziatwę, co żeś ja odziedziczył po chorągwi Świętej Trójcy, co składała się pod Lanckoroną z dwustu towarzyszy konnych, z lancami i bronią palną, krótką i długą, do szabel sposobnych takóž, spędziłeś swą dziatwę na dalszą wojnę, miast się poddać. A z tej Twej chorą-

## *Padnie the hero of two nations, bohater dwóch narodów, padnie z urwaną nogą od tej kuli armatniej*

gwi pozostałeś li tylko Ty, i ci dwaj Młodzikowie i jeden jeszcze towarzysz, co pomarł potem wskutek ran, bo otrzymał dwa kartacze, to znaczy – dwie kule z kartacza. Pomarł od ran, a przed zakopaniem go po katolicku, Wyście buty mu zzuli, bo dobre i pas odjęli i szablę, ale szabla szybko pękła na moskwi-cińskim czernionym napierśniku *elite-cavaliera*, bo z takimi takóž walczyłeś Krzysztofie. Więc wyciągnąłeś swoich dwóch młodzików z ognia i śmierci pod Lanckoroną, a chorągiew przepadła, ale plwateś już na chorągwie, chciałeś jeno żywot ratować, bo jeszcze czuteś, że walka niezakończona z tą modlitwą pod Lanckoroną i z tą rzezią pod Lanckoroną, gdy Matka Boska Maryja nasza jakoś nie wspomogła, a wspomógł nieprzyjaciół, zdrajców, zaprzańców, Hades i jego grzmiące, funtowe armaty.

Więc jechateś z nimi walczyć innego dnia. I gdy nawet wojna się skończyła wraz ze wkroczeniem konkretnego żołnierza do Korony, konkretnego, bo bitnego żołnierza z Moskwy od Carycy *Jekateriny*, sposobnego do walki w szyku, w linii, z karabinem i bagnetem, z konnicą nowoczesną, bo sposobną nie do szarż straceńczych, lecz szarpania flank i nękania piechoty, rozbijania formacji i chaosu siania. Tako więc Konfederacja się zakończyła, wypaliła, a Wasi dowódcy, Wasi wielcy mężowie – pierzchli, tako jako i pierzcht Casimir, *Casimir Pulaski* – tak go przecież zapamiętają, nie jako Kazimierza. I on dopiero zemrze na obcej ziemi, jak wielu przed nim zmarło i jeszcze wielu po nim takóž zemrze, on zmarł śmiercią arcypolską, bo w szarży właśnie, arcypolsko niezakończoną zwycięsko, zwycięsko dla niego. On to zemrze, gdy kula armatnia trafi w nogę i w koń, i padnie *the hero of two nations*, bohater dwóch narodów, padnie z urwaną nogą od tej kuli armatniej. A potem jeszcze spędzi dwa dni w agonii, a potem zemrze na okręcie, czując smród tego swojego kikuta gnijącego, tej nogi co czuje ją będzie, że jest-i-nie-jest, zemrze w ciemnościach pokładowych, pośród innych co odejdą z nim. A ciało – nad ciałem pomodlą się w obcej mowie, a potem wyrzucą cielesną stertę gatganów do morza, żeby *the hero of two nations* i jego ciało gnijące nie sprowadziło na okręt zarazy. I tak zemrze *Casimir Pulaski* w roku 1779, a potomni długo szukać będą jego grobu.

Ale Ty Krzysztofie Kazimierzu wciąż żyjesz, chociaż też byłeś w straceńczej szarzy pod Lanckoroną. Żyjesz i walczysz, bo po Konfederacji już nic innego nie potrafisz. Bo nie umiesz klęknąć i poprzysiąc wierność swojemu *Rex*, lecz jedynie na jego – zdrajcy, popleczników szablę unosisz. Byłeś przecież kiedyś takim młodym chtëpakiem, jak Ci co ich teraz strzeżesz i uczysz mordować. Szablą robieś pod gospodami i pokazy dla dziewczek, co jeś potem był białamucit Krzysztof Kazimierz z dała od oczów ich ojców. I przed Panami Braćmi machałeś szablą i strzelałeś z pistoletu, a w mieście nie byłeś nigdy, jak prawdziwy szlachciura, tako z wąsem i łbem wysoko podgolonym, nigdy nie byłeś, bo myślałeś, że *Rex Rexem*, Ojczyzna Ojczyzną, a ten żywot szlachecki trwał będzie wiecznie, bo jakże to tak – coś tak pięknego może się skończyć?

A się skończyło.

Więc chyba od początku o to walczył żeś w Konfederacji – nie o Wiarę Katolicką, nie o króla nie-zdrajcę, nie w obronie Ojczyzny i Maryi, dalibóg – żaden z Was Konfederatów, jak sądzę teraz, o to nie walczył, choć wiele żeście mieli tegoż na sztandarach wypisane. O nie. Żeście przecież walczyli tylko, tylko o to, by to dawne wróciło, by znów robić szablą po dworach i gospodach, by dziewczki chtëpskie przygniatać do siana, by strzelać z pistoletu i jeździć konno przed siebie i by to była ta Złota Wolność, ano – wolność od służby komukolwiek jak sobie. Wolność od wszystkiego. Wolność czysta.

Och, rycerzu.

Ciąży coraz bardziej Twój ryngraf. Masz ryngraf z Matką Boską – niegdyś lśniący piękną miedzią, teraz brązowy, brudny, zniszczony. Ciężki niemożliwie. Ciąży i sprowadza ku ziemi. W siodle się pochylasz, jeden z chtëpców do Ciebie mówi – Panie? Panie Krzysztofie – żyw Pan?

Ale Ty żyw, tylko ryngraf ciąży. Łańcuch ciąży, co sam żeś go zakładał był na szyję, jak powróz, by służyć, tak mówieś, Ojczyźnie i Maryi, i by tę Maryję Matkę Boską, Maćkę Jezukrysta samego – by jej służyć i pod jej sztandarem siec wrogów Ojczyzny.

Tako jak i broń Ci ciąży Krzysztofie Kazimierzu – i szabla i pistolety za pasem i nawet rumakowi Twemu – karabin przy boku, przytroczony, pod Twą nogą prawą, nabity, bez bagnetu. Staryś, choć przecież niewiele starszyś od tych chtëpców co z Tobą jadą, ale staryś.

Już nie masz włosów podgolonych, tylko lepkie, niedocięte strąki zwisają spod rogatywki. A wąsy takie szlacheckie niegdyś – teraz złączyły się z brodą brudną takóž. I tylko ten płomień masz wciąż w oczach, jak Twoi przodkowie szlachetni. Ten płomień nie do ugaszenia, co tlić się będzie nawet z portretu trumiennego.

I jedziesz Krzysztofie Kazimierzu tym pięknem, ciemnym stepem. Zwracasz syna ojcu, a drugiego syna ojcu nie zwrócisz, bo pomarł on w innej bitwie, gdzie indziej. A sam cóż uczynisz potem?

Wiemy Krzysztofie Kazimierzu, żeś tylko do zabijania sposobny, żeś po to czarną pochwę na szablę kupić był, bo żeś na czarną szablę szymirską stwornością się zastużył, wiemy że tylko zabijać potrafisz. Żeś Kazimierzu śmierci rajfurem, tak jej przynosisz kochanków.



Stały trzy kobiety. Tu już trawy brakło – była ziemia odstonięta, trochę nadpalona słońcem, ziemia jasno – brązowa. Kobiety wznosiły do nieba ręce i modliły się. Nie zwracały uwagi na Kazimierza i jego orszak widm, lecz stały i ptały. Stały pod krzyżem, pod przydrożnym, ciężkim, drewnianym, katolickim krucyfiksem, lecz ktoś zrzucił drewnianego Jezukrysta z krzyża, a zamiast niego umieścił na krzyżu umrzyków całkiem prawdziwych – wisielców – na każdym ramieniu po dwóch. Lekki wiatr kotysał nimiż, sznury napinały się pod ich ciężarem, gnili. A kobiety patrzyły na nich i modliły się, jakby tam wciąż, miast czterech umarłych – Jezukryst spoczywał.

A u ich stóp czaszka bez żuchwy, i piszczel, i żuchwa od tej czaszki, odrzucona, kawałek dalej.

Nie wiedział wtedy Krzysztof Kazimierz, czy są daleko czy blisko od dworu jego przyjaciela Macieja Augusta Siemaszewskiego, lecz czuł, że są, że muszą być już bardzo niedaleko. Ale choć bywał tu w gościnie po wielokroć, tak teraz Krzysztof Kazimierz nie poznawał okolicy, nie znał tych kobiet modlących się, tej drogi, tego lasu martwego, daleko po lewej od szosy.

Wyczuwał dwór jednak, wyczuwał te okolice, bo wiedział, że tak jak i on sam się był przemienił tak i ziemia sama się była – zmieniła.

Minęli wieś, a tam głód i dziatwa na rozstajach psa spożywała, choć niewiele musiało być pokarmu z takiego.

A potem dwór w istocie, w rzeczy samej dojrzeli. Lecz nie był to już ten dwór – bielony, z dziedzińcem czystym, piękną drogą, bramą. Bramy już nie było, dziedziniec był pokryty trawą – zgniecioną od buciorów piechoty, zgniłą, brudną, błotną. A sam dwór porośnięty czymś, narosła Kazimierzowi nieznaną, ale nie ciętą, nie piękną jak w wielu dworach, lecz czarną, z liśćmi czarnymi, bluszczem zatrutym.

Ale to był ten dwór. Tylko zmienił się tak jako i zmienił był się Kazimierz, zmienili się jego towarzysze i zmieniła się Złota Wolność, będąca teraz złotą nie-wolnością.

Zajechali jednak na dziedziniec, a cisza była tak dojmująca, tak przeszywająca, tak żywa, że wiedzieli, że coś się musi stać.

I się stało.

Ze dworu wyszedł starszy mężczyzna – z wąsem, w białej koszuli, obwiązany szerokim, szkartatnym, ale brudnym pasem. Mocarny mężczyzna, choć już nadgryziony wiekiem. Jego przyjaciel Maciej August Siemaszewski, ojciec młodego Augusta Siemaszewskiego. Wyszedł i nawet dłoni nie uniół na powitanie, tylko wychynął jak widmo z mrocznej czeluści dworu.

– Czego tu szukasz, synowiec? – zapytał Maciej August Siemaszewski, głosem zachrypłym.

– Synowiec Twój żyw, odzyskany z wojny – odparł Krzysztof Kazimierz.

Wtem nastąpiło poruszenie z zarośli i zza dworu, i wnet na dziedziniec, na te słowa o synu – wybiega piechota, ruska piechota, po mundurach znać można – zadbanych mundurach *line infanterie*, pod karabinem każdy. A z tych zarośli tańczących – trzech jeźdźców. Takż Moskali.

Krzysztof Kazimierz nie chwyta jednak za szablę, nie łapie za pistolet, bo widzi, że ze dwadzieścia luf karabinowych weń celuje i jak wykona jeden gest tylko – to dwadzieścia kul ołowianych, ciężkich go rozerwie, jako i rozrywało Konfederatów pod Lanckoroną. Patrzy więc tylko uważnie i ręce szeroko na bok rozkłada.

Wtem podjeżdża jeden z Moskali konnych, zbliża się na dłoni wyciągnięcie.

– Jestem Piotr Samuelowicz Rymka – mówi z nienaganną polszczyzną, choć Moskal. – Jestem teraz tutaj Panem.

Jest Panem, tak. Potwierdza Maciej Augustyn. Jest Panem odkąd żeście się na wojnę przeciw *Rexowi* udali. Wtedy przybył on tutaj i stał się naszym Panem.

Pieter uśmiecha się chytrze i Krzysztof Kazimierz już wie, że żaden Moskal z niego lecz swój – Polak, Lach, syn Bolesławowy, Piast, tylko że w mundur obcy strojny i mający innego Pana, kłaniający się innemu *Rex*. I nie dziwi go to, bo przecież jeszcze wielu synów Piastowych, wielu, wielu naprawdę po nim,

## *Ze dworu wyszedł starszy mężczyzna – z wąsem, w białej koszuli*

obcy mundur przybierze, jak drugą skórę – prawdziwszą od tej pierwszej.

– Złóżcie broń Krzysztofie Kazimierzu, złóżcie dla dobra swego i zwróćcie syna ojcu. Zwróćcie, upraszam Was.

Wiatr lekko zawiął, a gdzieś tam wisielcy na krzyżu zakotysali się znów.

– Augustynie! – Augustynie, złóż broń – wracajże do ojca.

Chłopak patrzy zaskoczony, waha się, ale widzi, że lufy Moskali nie celują w niego, ani w jego ojca, lecz w Kazimierza Tęczyńskiego. Więc czuje się pewniej, odkłada szablę, zrzuca ją jak wielki ciężar i schodzi z konia. Schodzi i podchodzi do ojca. I obejmują się ojciec z synem.

Jakoś już mniej ciąży ryngraf, jakoś mniej. Nawet uśmiecha się Kazimierz przez brodę i zmęczenie.

I wtedy następuje cios – to Piotr, to Rymka – wyszarpnął pałasz z pochwy i trzasnął konfederatę w łeb ręką. Kazimierz zsunął się z siodła, oszatomiony, spadł w trawę, w brud. A wtedy kolejne ciosy – kolb od karabinów. Nogi – mnóstwo nóg w buciorach piechoty, otaczających go i kolejne ciosy, kolejne i kolejne.

Rozkazy – by pojmać i ojca, i syna, i trzeciego towarzysza Krzysztofa Kazimierza. Pojmać wszystkich. Zniewolić wszystkich.

Cisza.

Wciągnęli ich do dworu. A dwór, okazało się – przerobili na ciemną katownię i więzienie. Prawie żadnych mebli – wszystko wyniesione, rozszabrowane. Żadnych portretów, ozdób, lamp – gołe ściany. Pokoje przedzielone nie drzwiami, lecz brudnymi kotarami, zwisającymi ciężko i takie same kotary zasłaniające okna – by nie dochodziło światło. Jeden stół, gdzie pito i grano w karty. Garść krzesel, łoża, brudne, odpluskwione. I to wszystko. I brud i kurz wszędzie.

Seniora Siemaszewskiego także pobili i ułożyli na tym jedynym łożu, jako Pana, i nawet zwracali się Moskale do niego, rechocząc – *Gospodin*. Chłopców oddzielili od siebie i wtrącili obdartych pod strażą do dwóch pokoi. A Krzysztofa Kazimierza, obitego mocno, do jeszcze innej ciemni – najmniejszej, jak szczura.

Nie zdarli mu ryngrafu, więc modlił się w ciszy, zmaśniał po łacinie pacierze i tak liczył czas. Jeść nie dawali. Sami pili a pomiędzy więźniami krążył Misza – lekarz w mundurze i okrągłych okularach, i badał, ale nie do leczenia, lecz dla kogo jakie męki będą najlepsze, kto ile mąk wytrzyma. A Krzysztof

## Zawył Krzysztof Kazimierz – wściekle, jak zwierze

Kazimierz zmaśniał po łacinie pacierze i zliczył, iż jest godzina pierwsza nad ranem, gdy zjawił się u niego Piotr Rymka.

– Czegoś potrzebujesz, rodaku? – zapytał.

– Chcę widzieć Macieja Augustyna – odparł Krzysztof Kazimierz. Chcę go przeprosić.

– Przeprosić? Przeprosić za co?

– Za to, że jego syn zamiast zostać z ojcem, udał się ze mną...

– Za to, żeś go ojcu zwyczajnie odebrał. Żeś go zabrał na wojnę-nie-wojnę, żeś go przymusił do podniesienia ręki na ojca wyższego od niego samego, od rodzzonego ojca – na króla, namaszczonego przez *Boha Gospodna* i Jezukrysta.

– Tak. Za to. Za to.

– A więc wstań. Możesz wstać? Wstań. Pójdziemy tam.

Poszli. Poszli do salonu, do tego co kiedyś było we dworze salonem. Tam gdzie był stół, gdzie pito i grano w karty. A tam – przy tym stole, siedział Misza, lekarz. Stół był czymś zlany, jakby krwią, posoką ludzką, i to była krew, posoka ludzka. Bo za tym stołem siedząc Misza trzymał za siwe włosy w lewej dłoni głowę Macieja Augustyna Siemaszewskiego, odciętą tak gładko, chirurgicznie, że widział Kazimierz zwrócone ku niemu w gardle tętnice czerwone i ścięgnię mięśnie i przetyk. A w drugiej dłoni ścisnął Misza nóż szeroki, ale czysty, optukany już. A głowa Macieja Augustyna miała zamknięte oczy i otwarte usta, brodę płamita krew. I wyglądało to, w ciemności – lekarz, nóż, głowa i stół, jak obraz, jak Judyta z głową Holofernesa.

Zawył Krzysztof Kazimierz – wściekle, jak zwierze, ale Piotr obalił go na ziemię jednym ciosem nahaja. Kolejne ciosy spadały na głowę klęczącego, skulonego Krzysztofa Kazimierza Tęczyńskiego, jakby był chłopem batożonym, tak jak onegdaj szlachta za lenistwo chłopów batożyła. Łkał, nie bronił się tylko łkał, a Piotr tnąc powietrze i skórę nahajem mówił:

– Dobrze, żeś go przeprosił, dobrze – przepraszaj, przepraszaj teraz. Sam sobie życie odebrał. Gdy wartownik przysnął, tedy wbił sobie nożyk, taki wąski, w pościeli ukryty – wbił go sobie – w samo serce. Odebrał sobie to życie, tak jak mówił – gdy syna zobaczy. Przepraszaj go, przepraszaj swotoczy!

A Kazimierz przeproszał i łkał. A potem znów wtrącili go do ciemni jego celi. I znów modlił się, odliczał pacierze, aż odliczył, że było rano.

Rano wyprowadzili ich w promieniach pierwszego słońca na dziedziniec. Tam szpaler piechoty, lekarz sprawdza – żyw, żyw, żyw.

A tam szpaler piechoty, i chrusty ułożone i krzyż wykonany, to znaczy – krzyż prawdziwy nad tymi chrustami – w literę T, taki krzyż. Zaś szpaler piechoty, miast karabinów, wszyscy z nahajami w dłoniach, albo witekami, albo kijkami.

I klęczeli obdarci i obici – Krzysztof Kazimierz Tęczyński i jego niedawni towarzysze – syn martwego już – August Siemaszewski, oraz drugi – także syn czyjś – Seweryn Mniszech. Staje nad nimi Piotr, a w dłoniach ma szablę Tęczyńskiego.

Czas już kończyć bunt, Panowie Bracia.

I tamie szablę, choć nie do końca – tamie się ostrze w połowie. Szabla, złamana, pada na trawę.

Wtem lekarz daje znak i zaczyna się powolne mordowanie. Dwóch łapie pod ramiona Seweryna. Młody chłopak – przestraszony, nie wie co się za chwilę stanie. A oni zdzierają zeń koszulę, zrzucają łachman, ściągają mu portki, obalają, zzuwają buty, a potem podnoszą znów. A potem prowadzą ku szpalerowi piechoty. Ta otacza go i na rozkaz „Bij!!” unoszą się nahaje i kijki i patyki zwykłe. A potem spadają w uderzeniach.

Stychać jęki, jęki paniczne, chłopięce, gdy raz, raz, raz, uderzają nahaje i witki o miękkie ciało. Plask, plask, plask – taki dźwięk wydaje skóra cięta pod tymi witekami. Jęki coraz bardziej paniczne, bo świadome, bo młody Seweryn co widział wojnę, widział mord, ale i piękne rzeczy widział – modlitwę przed bitwą pod Lancoroną, gdy śpiew niósł się taki, że jak mogli nie wygrać, gdy Matka Boska tak za nimi? I Częstochowę widział, i nocne narady i te twarze, napięte przed podjęciem decyzji. Ha – i te dziewczki roześmiane, bladolice, a różne były, ale chętne, chętne przyjmować szlachcica i w tonie ich pozostawiać troski i lęk, i być może gdzieś – synowca nieprawego, nieszlachetnego.

A teraz młody Seweryn, co był młody bardzo ale i bardzo wiele, zbyt wiele już widział – teraz Seweryn widzi, że te ciosy nie ustąpią, że będą bić – bić wiecznie.

Kazimierz słucha tego i milczy, choć chciałby chociaż łkać, tak jak łkał w nocy, złamany.

Strach. Mówi Piotr do niego, jak do przyjaciela, bo są przecież tym – przyjaciółmi. Strach. Bogu niech będą za niego dzięki. Bogu Wszzechmogącemu. Bo ja wierzę w tego Boga Wszzechmogącego. Bo wiesz, że jak umiera pies, jak umiera *sobaka* – to szkoda psa. Ale jak kona człowiek – *eta wielika raznica*.

Ale jak umiera niewolnik – to nie żal niewolnika. Bo kto stawiał piramidy w Egipcie, dzięki komu triumfalnie stoi w *Roma Colosseum*?

Wreszcie – dzięki komu jest nasza wielka, święta Ruś? Dzięki tym niewolnikom właśnie. Więc nie szkoda śmierci niewolnika. Bo tako jak i ci w Egipcie i ci w *Romanum*, tak i wy, od teraz już, na wsze czasy – *raby*. Bo skąd by miała potęgę nasza *wielika Gaspodina Jekaterina*, a *waskom ona miałaby brac wiernych slugi*? Z niewolników. Z nich. Z Was. Człowiek wolny *eta wrag Rusi*. *Takom* z Was i ze wszystkich, dla chwały naszego Carstwa, *takom* uczynić musimy niewolników.

A człowiek wolny to szaleniec. Tako i Was, nas – *Paliaków* – tako wypetnia nas szaleństwo.

Cichną baty, rozstępują się żołnierze. Wtedy podchodzi do czegoś Misza, lekarz. Pochyla się nad skrwawionym kawałkiem ludzkiego mięsa. Ocenia. Przygląda się.

*Pomart*, stwierdza.

Augustyn zaś omdlał, słysząc jęki przyjaciela. Więc nie cucą go, lecz wloką na krzyż, na literę T, na chrusty. Przywiązują nieprzytomnego do krzyża, za ramiona, wciągają. Głowa się kołysze. Wtedy już Kazimierz wyje, by zabić go batami, albo chociaż inaczej zamęczyć, jak już muszą, ale nie w ogniu, nie w straszliwej śmierci w płomieniach.

I żałuje tego krzyku, bo Augustyn budzi się wtenczas, akurat by dojrzeć jak żagwią podpalają chrusty pod stopami, jak w górę idzie czarny dym i pomarańczowy płomień. Czuje ten gorąc, też żar i płacze, krzyczy w panice, a potem – krzyczy nieludzko w bólu.

Płomienie ogarniają ciało, a to wycie – zwierzęce – unosi się w niebo, tak jak kiedyś ten piękny głos chłopięcy unosił pieśni do Maryi Królowej Polski.

A potem patrzy jeszcze na Kazimierza, patrzy z największym żalem jaki można sobie wyobrazić.

Tako i Twój los i Tobie potomnym, mówi Piotr Rymko, taki Twój los, żebyś już widział i miał w pamięci, po wsze czasy, do czego prowadzi i prowadzić będzie to Wasze szaleństwo. Ten obłąd niby-wolności. Widzisz tych młodziaków, widzisz z jaką łatwością, jak banalnie, śmierć im zgotowalim. I tak będzie zawsze, tak zawsze będzie z tym Waszym szaleństwem, z tym obłądem. Będzie piękny poryw, piękne serca, piękna pieśń, piękna wiara, piękne szarże, a potem banalna, w mękach – śmierć. W ogniu i w bólu i strachu. A synowce Wasi tak samo, osieroceni w tą śmierć pójdą – bo nie było ojca, co bym im powiedział, jaki koniec czeka w tym szaleństwie.

Zostawili go.

Odjechali przez bramę, której nie było, na podwórzu z towarzyszami, umartwami.

Widziałem Twoją szablę, Krzysztofie Kazimierzu. Wielką miałeś sprawność szyrmirską, jako pamiętam.

Widziałem jak leży, złamana, jak pies z niej zlizuje krew. Kulawy pies z Twojej szabli. Złamanej.

Ale Ty przecież unosisz szablę. Łapiesz złomek. Sięgasz jeszcze. Tako i jak na Twej szyi ryngraf z Matką Boską Maryją Królową Polski, tako i ty masz to tylko – złamaną szablę i Twą Maćkę Świętą, Boga Rodzicę. I tylko to. I to wystarczy.

Gdy ruszali przez las, ciemny, zamglony i wilgotny, to rozciągnęli szyk. Rozciągnęli na zygzakującym trakcie, błotnistym i potracili się z oczu przez tą mgłę, co spadła na nich jak diabeł.

Więc Piotr zluzował trochę szyk, zluzował by marsz szedł sprawniej. Wszak nic im tu nie groziło, bo każdy kto im mógł zagrozić już dawno wisiał, sptonął, albo był zaduszony w błocie, zakłuty bagnetami, rozerwany kulami. W każdym razie – był martwy.

Nie martwili się więc. Nie lękali. A gdy przestali się lękać, gdy opuścili gardę – wtenczas On spadł na nich.

Błysnęła brudna stal, świst. Żelazo ostre wbija się w pierś jednego z piechurów ariergardy. Mężczyzna nie zdołał przekląć, bo ledwie usta otworzył, chwyciwszy się za przebitą pierś – wtedy cios spadł na niego ręki, obalił, wyszarpnął z piersi złamaną szablę – dobił, a ostatnie co Moskał zobaczył to Boga Rodzica miedziana, na ciężkim ryngrafie.

Kazimierz porwał karabin tamtego, odciągnął kurek, pobiegł wzdłuż drogi i gdy z mgły wychynął kolejny Moskał – wypalił. Kula poszła w brzuch, ścięła z nóg żołnierza. Nim upadł w krzaki, już porwana była i jego broń.

Do Pietra doszły strzały przez las. Nakazał swym spłoszonym żołdakom dalszy marsz, ale sam chwycił za pałasz, zawrócił konia i ruszył ku tyłom.

Biegnie Kazimierz, ściska zdobyty kolejny karabin, a jak demon, jak diabeł

## *I tak będzie zawsze, tak zawsze będzie z tym Waszym szaleństwem*

rodzony – odebrał żywoty już bodaj pięciu Moskałom. Zaskoczonym, przerażonym, widzącym widmo w samych portkach, samych buciorach brudnych, koszuli białej, obdartej. Z czarną pochwą, a w tej pochwie – złamana szabla. To przy pasie. W dłoniach broń ognista. Karabin długi, nabity, z bagnetem.

Biegnie demon przed siebie, wściekły i ich zabija.

Jeden Moskał dojrzał Kazimierza, wypalił nawet, lecz chybił. Uderzył więc bagnetem, wysoko, tak jak uczyli na musztrze sto, a może nawet i tysiąc razy. Ale klinga cięta powietrze i mgłę, a zaraz w jego trzewiach – stal z bagnetu nieprzyjaciela. Drugi obrócił się widząc walkę – też chciał wypalić. Dwa strzały, pach, pach! Kule mijają się w locie. Moskał zaskoczony, gdy pocisk trafia go, wbija się w czoło, złobiąc nieduży otwór, zaś z tyłu wywalając całą zawartość czaszki. Pada z tą zdziwioną miną, a gdy pada, to z mgły koń wybiega i jeździec na tym koniu. Pietr.

Widzi Krzysztofa, widzi go z wypalonym karabinem, więc podjeżdża. Koń dobry, sposobny do wojny – nie boi się zapachu krwi, huku, wystrzału – dobry, kawaleryjski rumak. Naciera Pietr, tnie z góry pałaszem, siecze z nienawiścią. Chybia. Kazimierz uchodzi mu z drogi, wbija bagnet od karabinu w bok zwierzęcia. Koń kwiczy, ale Konfederata wyszarpuje broń i pcha jeszcze raz, celniej, w tętnicę, w mocarną, zwierzęcą szyję.

Krew zlewa brunatną sierść rumaka, zwierze staje dęba potem pada, lecz Pietr to także wprawny żołnierz. Zeskakuje w porę z siodła, uwalnia nogi ze strzemion i zeskakuje.

Zwierzę leży, kwicząc w agonii na leśnym podszyciu. Omija go Pietr, dopada w wypadzie Tęczyńskiego, robi pałaszem jak szpadą, jak rapierem.

Robi wypad.

Tęczyński już ma w dłoni utamaną szablę, o połowę krótszą od wrogiego pałasza. Odbija wypad, ale wróg ponawia, skraca odległość, rąbie z góry. Dobrze stawia kroki, dobrze go uczono, tak jak i dobrze uczono Tęczyńskiego.

Śpiewa stal, gdy wymieniają ciosy, świst żelaza przecina powietrze.

Skracać, skracać, skracać, myśli Tęczyński. Patrzy w oczy Polakowi-Moskalowi, bratu-nie-bratu, zdrajcy, szaleńcowi takiemu jak i on sam.

Po oczach, po oczach poznasz wszystko w szermierskim rzemiośle. W mordowaniu. Po oczach.

Ostatni wypad z cięciem, kończący. Patasz wraza się w ciał Tęczyńskiego. Cieknie krew na liście, na glebę, gdy żelazo tnie mięso w boku. Tęczyński przyjmuje cios, przyjmuje tylko po to by wreszcie się zbliżyć.

Wbija tępy złomek szabli, sztychem w gardło Pietra. Ten zaskoczony, gdy stał rozrywa boleśnie grdykę, przetyk, zgrzyta o kręgi, przebija je, przechodzi na wylot. Tęczyński puszcza szablę i obejmują się chwilę. Podtrzymuję go, Moskala-nie-Moskala. Swego brata, choć zdrajcę.

Pieter umiera szybko. Ot – łaska szybkiej śmierci. Umiera szybko, a na jego ustach jeszcze uśmiech, że tyle mąk zadał, a sam mękom zemknął w porę do grobu.

Ściska go jeszcze Krzysztof Kazimierz. Ściska z czułością, jak zagubione-go. Potem odchodzi, a gdy Moskale odnajdują ciało swego *kamandira*, widzą tę jego gardziel skrwawioną, rozerwaną, przebitą złomkiem szabli, i ślad krwi, jak wilka rannego – idący w las.

Widziałem Twoją szablę Krzysztofie Kazimierzu. Widziałem ją zlaną posoką Twoich wrogów. Teraz Twojej szabli nie liżą psy, lecz wciąż w ruchu ona, już wiecznie.

Na tę krew na tej szabli składałeś przysięgę rycerzu, nową przysięgę, inną. A teraz dochowujesz jej Krzysztofie Kazimierzu. Widzę te Twoje oczy i tę szablę złamaną zawsze. Widzę Twoje oczy, szalone, pod Somosierrą, widzę zimną nocą w listopadzie, widzę te oczy, klęczące i żegnające się z Twoją druhną lub z Twoją Maćką, i widzę je w mrokach kanałów, gdy pośród wilgoci mkniesz z tą szablą złamaną, a u góry bomby niosą śmierć i niesie ogień *flammenwelfer*.

Widzę po wielokroć te oczy. Widzę na obrazach i zdjęciach. I widzę też ten ryngraf. Widzę jaki on ciężki. Jak łańcuch ciężący, jak kajdany, jak powróż.

Ten łańcuch ciężki. Nigdy.

Nie do zdjęcia.

17 lutego 2012 r.

---

### Co dalej?

Kochasz Konfederację? Koniecznie przeczytaj niezbędnik barski Magdaleny Ślusarskiej (2010) z 21. teki „Pressji”.